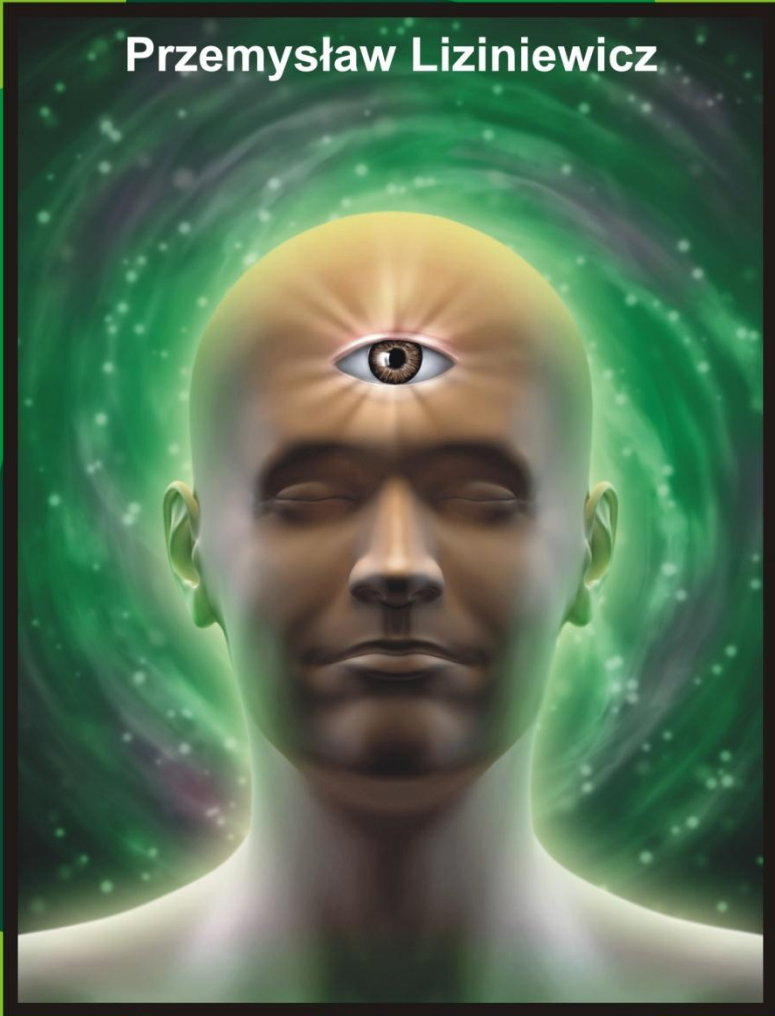




Przemysław Liziniewicz



*Odmienna  
wizja świata*

PRZEMYSŁAW LIZINIEWICZ

*ODMIENNA  
WIZJA ŚWIATA*

Wydawnictwo Psychoskok, 2013

Przemysław Liziniewicz  
"Odmienna wizja świata"

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok, 2013

Copyright © by Przemysław Liziniewicz, 2013

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Wydawnictwo Psychoskok

Projekt okładki: Wydawnictwo Psychoskok

Zdjęcie okładki © Andrea Danti - Fotolia.com

ISBN: 978-83-7900-048-7

Wydawnictwo Psychoskok

ul. Chopina 9, pok. 23, 62-507 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 665-955-131

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>

e-mail: [wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

## **Spis treści**

---

BŁONKI.....	4
STAN ODURZENIA.....	13
KOLEGA.....	70
LAMINATY.....	86
UCZEŃ.....	100
ŚMIERĆ MÓWI DZIEŃ DOBRY.....	110
DZIEŃ JAK CO DZIEŃ.....	128
KOMBINERKI.....	139
MRÓWKI.....	176
ODMIENNA WIZJA ŚWIATA.....	204

## **BŁONKI**

---

Kiedy trafili do jego klasy, to był piąty rok nauki. Mieli nieco więcej lat, od dzieci, do których dołączyli, ale zupełnie się tego nie odczuwało. Możliwe, iż rzecz spowodowały trudności językowe. Oni trochę seplenili przez co zdawali się być niespełna rozumu, a może i byli niespełna.

– Didi – ciur! – powiedział kiedyś Jerzyk, a oni odpowiadali:

– Ciur! Ciur!

Miało to imitować odgłosy wróblej mowy.

Rodzice nowych kolegów – pracownicy indonezyjskiej placówki dyplomatycznej zajmowali służbowe mieszkanie w budynku położonym w rejonie osiedla, na którym zamieszkiwał Józef. Do szkoły nr 69 mieli najbliżej i zapewne owa bliskość zadecydowała, o dokonanym wyborze. Chociaż tak naprawdę, to trudno uzasadnić przyczynę, dla której do owej szkoły przychodzili. Prawie nie znali języka. Podczas lekcyjnych zajęć, w których z powyższego powodu (czyli prawie zawsze) nie mogli uczestniczyć, wyjmowali słowniki indonezyjsko-

angielskie i wodząc palcami po stronie, sylabizując ściszonymi głosami, uczyli się angielskich słówek.

Nazywali się Didi Suriadi Purnomo i Agus Rachmat Rachardio. Nie wiem, czy byli braćmi (podobieństwa trudno się dopatrywać tam, gdzie dominuje brzydota), ale wciąż przebywali w tym samym mieszkaniu i razem siedzieli w ławce. Byli to typowi Papuasi. Obaj mieli skórę w kolorze oliwek, płaskie nosy i wysunięte ku tyłowi czaszki, a także (jak wspomniałem na początku) zupełnie czarne, kędzierzawe włosy. I właśnie najbardziej się tych włosów wstydzili (no, oczywiście nie licząc błonek między palcami stóp – lecz o tym później). Starannie i bezskutecznie przyglądali owe włosy brylantyną, która okropnie śmierdziała. Nie wiedziały dzieci, dlaczego ich fryzury, tak błyszczą, ani nikt nie znał przyczyny specyficznej, rozchodzącej się zawsze wokoło nowych kolegów, woni, zatem co pewien czas, któreś dziecko w jak najlepszej wierze zapytywało:

– Agus, a co to tak śmierdzi?

Lecz oni tego rodzaju pytań nie lubili i nie spieszyli z odpowiedzią.

Zagadnięci – a gdzie jest twój dom? –

odpowiadali zgodnie, że mają trzy domy – jeden w Indonezja, drugi w Anglia, a jeście trzeci w Polska.

Każdemu wydawało się czymś niewyobrażalnym posiadanie tylu miejsc zamieszkania i na dodatek w różnych punktach globu. Zapewne to (i guma do żucia) sprawiało, że Didi i Agus cieszyli się niekłamanym szacunkiem. Jedną z bez mała namacalnych oznak ich materialnej przewagi była właśnie okoliczność prawie ciągłego żucia gum.

– Agus, daj guma! No daj guma! – nagabywał co chwilę Jerzyk, krocząc w ślad za uciekającym Agusem, podczas kiedy ów ostatni z ponuro zmarszczonymi brwiami, odpowiadał:

– Nie mam. Nie mam guma!

A Jerzyk na to – Nie ma, nie ma – pełno ma!

Józef nigdy nie nabrał zwyczaju, ani tym bardziej potrzeby żucia gumy i wszelkie tego rodzaju sytuacje obserwował pod każdym względem z boku i z oddalenia. Wszakże dla nich (Agusa i Didiego) żucie gumy, a więc także pogoń za zdobyciem jej (co w omawianym okresie nie było niczym łatwym) wydawało się stanowić coś naturalnego i oczywistego, niczym pragnienie oddychania dla

podtrzymywania życia. Któregoś dnia Agus sam do Józefa podszedł i zagadnął:

– Chcesz guma?

Przez krótki moment zagadnięty uczuł się postawiony w trochę niezręcznej sytuacji i nie do końca wiedział, jak zareagować. No bo gumy nie chciał. Ale znowu – odmówić?

Lecz Agus na szczęście chwilę wahania odczytał inaczej.

– No pewnie, że chcesz, bo ty nie możesz dostać!

Któregoś razu Jerzyk w sekrecie opowiadał o swojej wizycie u Didiego i Agusa w domu:

– I ty wiesz co? W samym rogu, za jednym z łóżek stała skrzynia. Gdy nikt nie patrzył, to ja do niej zajrzałem i wiesz, co tam było?

– ?

– Pełno gum!!!

To może się wydać bez znaczenia, jednak kiedyś później, kiedy Józef został zaproszony do tego mieszkania, specjalnie podjął poszukiwania, lecz nigdzie nie udało mu się dopatrzeć choćby śladu po owej skrzyni.

Didi i Agus trzymali się zawsze razem, ubierali



czysto i schludnie i często zmieniali ubiory tak, iż dało się zauważyć, że byli (przynajmniej jak na ówczesne warunki) bogaci. Tylko jedna rzecz w ich imagu zdawała się pozbawiona smaku – to były ich teczki. Te olbrzymie, zasobniki (prawie walizki) trzymali za rączki wystawiając je odrobinę do przodu i szli z nimi lekko pochyleni. Ich droga do domu ze szkoły nie wiodła na skróty, ale przeciwnie – zdawała się być jak najbardziej okólna. A i tę przedłużoną (zdawałoby się bez jakiegokolwiek widocznej przyczyny) trasę, pokonywali idąc zygzakiem. Posuwali się przy tym wolno, bardzo wolno, małymi, drobnymi kroczkami – wręcz stopa za stopą. Innym uczniom też nie spieszyło się do domów. Każdy zamieszkiwał gdzie indziej i w związku z powyższym trudno było mówić o jakiegokolwiek w ogóle trasie. A poza tym owo powolne tempo (naszych – polskich) chłopców brało się nie stąd, że powoli szli, ale że wystawano w mijanych bramach, pod klatkami domów, gdzie ktoś (jeden czy dwóch) dostępował przygody (wypalano pierwsze papierosy), a reszta bacznie się rozglądała w poczuciu robienia czegoś zakazanego.

Lecz nie jednokrotnie, kiedy stali tu czy tam –

Przez chwilę migąła ich oczom nierozłączna para Indonezyjczyków wędrujących i taszczących przed sobą te ogromne, żółte teczki.. Widać ich było raz po raz, w – zdawałoby się – całkiem nieoczekiwanych miejscach.

Oto bowiem – zanurzyli się w prześwicie jednego z bloków, wydostając się z podwórka na ulicę. A już po chwili wracali na tę samą kolonię tylko, że z drugiej strony (widniejącą kawałek dalej przerwą między domami). No i ogólnie posuwali się – co prawda – w kierunku miejsca zamieszkania, ale ciągle zygzakiem. Dopiero po upływie jakiegoś czasu ktoś spostrzegł, iż poruszali się stale po tej samej trasie. Z początku (dopóki istniała jeszcze na świecie wiara w jakiś sens) niejednokrotnie widząc ich jak przechodzili w pobliżu, ten i ów próbował ich przywoływać, wykrzykiwał coś do nich, wymachiwał rękami. Ale oni się jedynie uśmiechali i pokazywali palcami, któredy będą szli i nigdy nie zbczyli nawet o milimetr ze swojej stałej marszruty. Wreszcie któryś odkrył, że chłopaki po prostu lubią wzbudzać zainteresowanie. A wzbudzali niemałe. W owym okresie nie często można było spotkać prawdziwego murzyna, a co dopiero Papuasa.. Więc ludzie –